Nr. 11. Lwów dnia 5. Lutego 1859. Sobota.

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

PRZEGLĄD POWSZECHNY wychodzi dwa razy na tydzień: t. j. we środę i sobotę.
Cena we Lwowie całoroczna 8 zł., półroczna 4 zł., kwartalna 2 zł.
Cena na prowincyi całoroczna 10 zł., półroczna 5 zł., kwartalna 2 zł. 50 kr.
W walucie austryackiej.

Prenumerować można w urzędach pocztowych każdego czasu, we Lwowie zaś tylko w księgarni K. JABŁOŃSKIEGO.
Listy reklamacyjne oddane nieopieczętowane urzędom pocztowym, niepodlegają frankowaniu.

INSERATY, jako to: ogłoszenia, uwiadomienia i doniesienia wszelkiego rodzaju, przyjmują się do dziennika za opłatą od wiersza drobnego druku (petit) za jednorazowe umieszczenie po 7 kr., za następne po 3 kr. z dodatkiem opłaty stęplowej za każdorazowe umieszczenie po 30 kr. w. aust.

Bióro Redakcyi PRZEGLĄDU w rynku Nr. 232 na drugiem piętrze.

Przedpłata „Przeglądu" na miesiąc luty i marzec 1859 wynosi: we Lwowie 1 zł. 34 kr.; na prowincyi 1 zł. 60 kr. wal. austr.

Przegląd polityczny.

Lwów dnia 4. lutego.

□ Dotąd nie zaszło nic takiego, coby mogło albo wyjaśnić albo zmienić sytuacyę. Mamy wprawdzie kilka artykułów więcej, rozprawiających o pokoju i wojnie, powiększył się szereg pogłosek i domysłów; ależ to położenia rzeczy nie zmienia.

Zdając sprawozdanie z opinii celniejszych organów Francyi i Anglii, wspominamy o artykule w *Constitutionnelu*, który z prawdziwem zadowoleniem oblicza siły Francyi, twierdząc, że około 500.000 wojska francuzkiego może być użytem na zewnątrz. Niemniej ciekawy jest artykuł, zamieszczony w dzienniku *Times*, który radzi Austryi, aby ustąpiła żądaniom Francyi co do reform w państwie Rzymskiem. Francuzka *Presse* chce rewizyi traktatu z r. 1815, licząc z pewnością, że Anglia połączy się w tym celu z gabinetem francuzkim.

Różne korespondencye z Turynu do dzienników niemieckich, a mianowicie do *Ost D. Post*, rozpisują się szeroko nad agitacyą polityczną w księstwach Parmy i Modeny. Zważywszy, że siły zbrojne jednego i drugiego księstwa nie są tak liczne, ani tak dobrze uorganizowane, aby na przypadek wybuchu rewolucyjnego w tych księstwach mogły mu stawić opór skuteczny: wnioskują słusznie, że hr. Cavour przysporzyłby w obecnym składzie rzeczy wiele kłopotów dla rządu austryackiego, gdyby istotnie agitacya polityczna w tych stronach miała przybrać charakter groźniejszy.

Przechodząc do wypadków na półwyspie Bałkańskim, trzy głównie zdarzenia zajmują nieustannie świat carogrodzki i uwagę publiczną. Co się tyczy zatwierdzenia księcia Miłosza, nie ulega wątpliwości, że został uznany przez padyszacha władzcą Serbii. Nie wiemy jednak, czy sułtan uznał go dziedzicznym, czy tylko dożywotnim księciem. — Drugą sprawą jest wybór hetmana Kouzy hospodarem mołdawskim. W. Porta wedle brzmienia konwencyi ma tylko prawo zatwierdzenia hospodara; pozostaje pytanie, czy może i nie potwierdzić — a jeżeli zechce i wolno jej założyć veto, zachodzi pytanie, co stanie się z nowo obranym hospodarem. Dotychczas nie wiemy z pewnością, czy W. Porta potwierdziła już Jana Kouzę — jak znowu z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że Francya zgodnie z Rosyą wyborowi temu sprzyjają. — Trzecią sprawą mają być nieustannie krążące pogłoski o zmianie gabinetu tureckiego. Wedle nich ma Mehmed Kiprisli zostać wielkim wezyrem i naczelnikiem gabinetu.

Przechodząc do innych spraw, które w obec wypadków w księstwach Naddunajskich i w obec intencyj wojennych Paryża i Turynu tracą na znaczeniu, zapisujemy:

1) że Prusy zajęte obecnie wyłącznie swojemi wewnętrznemi sprawami; że między księciem rejentem a sejmem panuje dotychczas prawdziwie braterska zgoda; że narodzenie się wnuka księcia pruskiego wprawiło w niezwykły ruch dziennikarzów pruskich; a nawet dzienniki angielskie piszą z powodu tego przykładne artykuły, kończące się sławnem *God save the Queen*;

2) że sytuacya ministeryum bawarskiego do sejmu po wybraniu Dr. Weissa wiceprezydentem, niezapowiada długiego powodzenia pierwszemu — domowe jednak te zatargi obojętne są dla Europy, jak wszystkie zatargi drobnych państewek niemieckich;

3) że kwestya holsztyńska czeka na rezultat obrad stanów holsztyńskich w Itzehoe.

Włochy od upadku Napoleona.

I. *(Podział półwyspu włoskiego na kongresie wiedeńskim r. 1815. — Charakterystyka rządów w Sardynii, w Lombardyi i Wenecyi, w państwie Papiezkiem i królestwie Obojga Sycylii).*

Sypią się jak grad artykuły dziennikarskie w tak zwanej sprawie włoskiej. Uwaga publiczna zajęta tem więcej tą kwestyą, że sformułowanie jej jasne i wyraźne jest prawie rzeczą niepodobną. W chaosie najrozmaitszych zdań i wyobrażeń o tej sprawie trudno zaprawdę opinii publicznej, ująć ją w formy dotykalne, i wysnuć domysły o przyszłych jej kolejach. Zamiast rozumowań zestawimy w krótkości w kilku artykułach historyę półwyspu włoskiego, czerpiąc ją ze źródeł wiarygodnych. Krótki przegląd historyczny nie może być ani zupełny ani dokładny, ale może być istotny.

Zważywszy, że przyszłość, gdyby nie miała przeszłości, nie byłaby przyszłością, ale tylko urojeniem, poda nam prawdziwy acz krótki rys przeszłości najlepszą skazówkę.

Wiadomość o upadku Napoleona I. nie obudziła we Włoszech powszechnego żalu; być może dla tego, że lud w każdej zmianie zwykł upatrywać zasady lepszej przyszłości dla siebie. Jedynie oświecona część narodu włoskiego sprzyjała, jeżeli nie Francuzom, to Napoleonowi I. Zniesienie pod żelaznym rządem tego wojownika, wielu nadużyć, zaprowadzenie wymiaru sprawiedliwości, którą przedtem na półwyspie włoskim za pieniądze sprzedawano, i zaprowadzenie wielu innych ulepszeń administracyjnych — tłumaczą, acz niedostatecznie przychylność i powolność tej części narodu włoskiego dla rządów wspartych na bagnetach francuzkich. Lecz masy narodu żywiły w swoich piersiach więcej jak niechęć, bo nienawiść ku Francuzom, i one to witały wkraczające wojska austryackie okrzykami prawdziwie dziecinnej radości.

Aeropag europejski, zgromadzony pod ów czas w Wiedniu, zajął się najpierw najtrudniejszą do rozwiązania kwestyą: co i komu przypaść ma jako wieczne dziedzictwo. Aby zaś drogiego czasu nie marnować nad badaniem życzeń mieszkańców półwyspu włoskiego, wzięto za zasadę podziału jasno sformułowane zdania i żądania nie bardzo zgodnej z sobą dyplomacyi.

Lombardyę i ziemię rzeczypospolitej Weneckiej, przyznał kongres wiedeński monarchii Austryackiej, z których nabytków zagwarantowanych traktatami, utworzono kraj koronny pod tytułem królestwa Lombardzko-weneckiego. Bratu cesarza Franciszka arcyksięciu Ferdynandowi, oddano wielkie księstwo Toskańskie. Arcyksiążę Franciszek otrzymał księstwo Modeny, a córka cesarza żona Napoleona I., otrzymała księstwa Parmy i Piacencyi. W zamian za te księstwa oddano jednej gałęzi Bourbonów rzpltę Lukańską — dopiero po śmierci małżonki Napoleona I. miały księstwa Parmy i Piacencyi przejść do rąk dawnych właścicieli.

Piemont i Sabaudyę przyznano królowi sardyńskiemu Wiktorowi Emanuelowi, jako spuściznę po dziadach i pradziadach, wcielając do niej okręg słynnej z Wenecyą rywalizującej rzpltej Genueńskiej, aby powiększyć i wzmocnić barykadę przeciw francuzkim inwazyom. Obecne zawikłania dowodzą, że i dyplomacya może się przerachować. Romanię objął jako prawowity władzca papież; a królestwo neapolitańskie po wypędzeniu Murata król Ferdynand.

Owoż przedstawiliśmy podział półwyspu włoskiego wedle brzmienia traktatów z r. 1815.

Rzecz jasna, że jak usposobienia władzców, pomiędzy których piękny kraj włoski podzielono, musiały być różne, już dla tego, że na świecie nie ma absolutnej tożsamości (czy jak tam kto chce to pojęcie ochrzcić): tak samo różniły się i systemata rządowe, które ku uszczęśliwieniu poddanych obmyślono i w życie wprowadzono. W jednej tylko rzeczy zgadzali się wszyscy z sobą, t. j. w wytępianiu jak najgorliwszem wszystkich urządzeń, które swój ród z Francyi wywodziły. Król sardyński Wiktor Emanuel postępował w tej zmudnej robocie z największą konsekwencyą.

To fraszka, że zniósł w państwie swojem wszelkie prawa i ustawy francuzkie. — Konsekwencya kazała jeszcze unieważnić wszelkie wyroki sądów cywilnych, które zapadły na mocy kodeksu francuzkiego. Francuzów, którzy od r. 1792 osiedli w kraju, wygnano, bo i tego wymagała konsekwencya. Natomiast powołano do kraju ojców jezuitów, poruczając im najwyższy kierunek wychowania publicznego. Zaprowadzona cenzura miała czuwać nad tem, by nie rozpowszechniano niezgodnych z zasadami rządu wyobrażeń. Jedynie Genua otrzymała od króla Wiktora Emanuela w darze gatunek reprezentacyi; byłby to niezawodnie rażący wyjątek od przyjętego za normę prawidła rządzenia, gdyby król nie zastrzegł sobie był jak najwyraźniej wybor członków do tej reprezentacyi krajowej.

W królestwie Lombardyi i Wenecyi zaprowadził c. k. rząd w miejsce zniesionego kodeksu francuzkiego, ustawy obowiązujące w krajach dziedzicznych. Administracyę urządzono także na wzór innych krajów koronnych; zresztą w reformach wprowadzanych przebijał się nie tylko duch umiarkowania, ale nawet liberalnych tendencyj, o ile takowe dały się pogodzić z panującym podówczas systemem rządzenia; zatrzymano bowiem nie tylko urządzone przez Francuzów rady gminne, ale nadto nadano mieszkańcom konstytucyę, acz w znaczeniu ogólniejszem, jak zwykle tego wyrazu używają.

Tak zwanym kongregacyom prowincyonalnym, złożonym z najznakomitszych mieszkańców, nadano prawo dozorowania miejscowych spraw w różnych powiatach czyli obwodach, na jakie kraj podzielony został; a dwie centralne kongregacye: jedna dla Lombardyi, druga dla Wenecyi, zostały upoważnione zająć się rozkładem rozpisanych przez rząd podatków nadzwyczajnych. Przyznano im także wedle brzmienia patentu prawo petycyi. Inne rządy półwyspu włoskiego nie widziały, czy nie chciały widzieć potrzeby przyznania swoim poddanym choćby najsłabszego cienia praw do udziału w sprawie pospolitej.

Zaraz po tryumfalnym wjeździe Sługi sług do Rzymu, przywrócono w Romanii dawny porządek. Ministrowie Piusa VII. rozciągli dogmat o nieomylności kościoła i na sprawy, które z nim w żadnym nie zostają związku, na sprawy administracyi krajowej. — Wkrótce

---

Nie wszystko złoto co świeci.

Szkic z życia codziennego.

(Ciąg dalszy).

Rozdział piąty.

Jeszcze o przywiązaniu do majętnych wujaszków, z dodatkiem pana porucznika.

Jegomość pod piecem drzemiący był, jak mówiliśmy fenomenalnie chudy. I tak było w rzeczy samej. W tej mierze mógł się był na każdą wystawę europejską wyprawić, jako wzór chudości. Prócz sterczących wszędzie kości, które zewsząd w anatomicznym wyglądały porządku, i prócz kilku żył grubych wystających jakby struny gitarowe na czole i rękach, nie było na nim ani funta zda się ciała, jeno sama skóra pofałdowana sowicie na twarzy. Były jeszcze prócz tego na twarzy wąsy zawiesiste, długie, w górę podkręcone, ale tak sztywne i czarne, że bez obmowy można było ich właściciela posądzić o staranne ich czernienie i woskowanie, mianowicie porównawszy barwę wąsów z włosami znacznie jaśniejszego odcienia, które wiek białawemi już zaczął pstrokacić smugami. Wieku trudno było rozpoznać po tej zwiędłej zesuszonej i kościstej postawie; mógł mieć zarówno mniej niż pięćdziesiąt, i znacznie więcej. Widoczna tylko była wielka siła w całej postawie, w ogromnych rękach i nogach; równie też wiele biło żywej jeszcze młodości z wielkich piwnych oczów pana porucznika.

Porucznikiem bowiem nazywano powszechnie pana Franciszka Ciwuńskiego, który był od lat niepamiętnych nieodstępnym domownikiem pana Jędrzeja Wypolskiego. Jaki między nimi zachodził stosunek: czy zażyłości tylko, czy przyjaźni dawnej, czy może pokrewieństwa jakiego, nikt dobrze nie wiedział; a przez to samo wszyscy najniepodobniejsze w tej mierze rozpowiadali domysły swoje, przedając je za pewniki same. Krewni, którzy co roku odwiedzali pana Jędrzeja, mówili przed obcymi o panu Franciszku:

— To rządca naszego wuja!..

Lecz i to domniemywanie było fałszywe. Wprawdzie porucznik mięszał się do gospodarstwa w Obodowcach i do wszystkiego, co się działo u pana Jędrzeja, w domu i za domem, ale to tylko chwilami, i tak od niechcenia wedle fantazyi. Były za to czasy, w których znowu porucznik siedział jak zaklęty w swojej izdebce osobnej, którą sobie urządził na drugim końcu domu, i przez całe tygodnie wartował stare foliały jakieś, do których miał zazdrośną predylekcyę, bo nie pozwalał ich dotykać nikomu. A w takich razach pan Jędrzej uganiał sam po polach, gospodarując najzawzięciej. Stary ekonom Lisiewicz nieraz przed leśniczym sitowieckim serdecznym przyjacielem swoim i potrójnym kumem, bo mu wszystkie trzy córki do chrztu trzymał, naśmiał się do woli z tego obu panów gospodarstwa.

— Możesz serce kumciu być pewien, mawiał Lisiewicz smakując stary miodek leśniczowski, że co jeden zarządzi w gospodarstwie, to drugi niezawodnie przemieni innemi dyspozycyami. Jeden do Sasa, drugi do lasa!... Człowiek nieraz kumciu duszko głupieje między niemi. Ten każe podłożyć pod oziminę; tamten ugorem zostawi. Ten orać, tamten radłować każe. Ten owies, tamten jęczmień siać każe. A z gnojem, to cała komedya. Pan nasz wierzy w gnój, jak w przykazanie; porucznik śmieje się z gnoju.

— To oni się muszą niecierpieć?... pytał leśniczy.

— Gdzie tam!... tego kumciu duszko i sam rogaty djabeł nie skalkuluje. Jeden za drugiego dałby się zabić, i nie radziłbym nikomu kłaść palec między drzwi. Herszko arendarz próbował raz tego, i zaczął to jednemu to drugiemu puszczać bąki. Wyszedłże dobrze na tem! Zawołali go raz do dworu, i takie mu sprawili cięgi, że się Herszko z miesiąc skrobał po grzbiecie; a jak się skończył rok arendy, wypędzili Herszka z karczmy, i kwita!..

Wszystko co mówił Lisiewicz, było świętą prawdą. Pan Jędrzej i pan Franciszek nie godzili się nigdy w zdaniach swoich, i w tej mierze byli zawsze do zdybania się, kłócąc się najzawzięciej o pierwszą lepszą okoliczność. W jednej tylko okoliczności godziły się najzupełniej ich upodobania. Oba zawziętymi byli myśliwcami; i nieraz jeden porzucił swoje stare księgi, a drugi zajęcie gospodarskie, aby siąść na konie i z chartami gonić za szarakiem. Wprawdzie i na polowaniu nie jednemu zajączkowi udało się pewnej umknąć śmierci, dla tego, że porucznik chciał mu zajść drogę od lasu, a pan Jędrzej od debry. Trzeba wszakże dodać, że jeżeli porucznik ku debrze pociągnął, to pana Jędrzeja korciało ku lasowi.

Lecz może w dalszym ciągu obrazka tego, stosunek ten w akcyi samej lepiej się odcieniuje. Niewdając się zatem w dalsze opisy, dodamy tylko, że porucznik drzemiący w tej chwili pod piecem, zimą czy latem nosił zawsze rodzaj czamary, dłuższej i kamlotowej w lecie, a krótkiej i lisami podbitej w zimie. Na wielką paradę wdziewał czamarkę zieloną, z potrzebami i guzami złotem przeplatanemi, co nadawało jego strojowi coś mundurowego. Tym razem wszakże mimo ważnej dnia tego uroczystości, miał na sobie strój zimowy, a to dla tej po prostu przyczyny, że gdy pan Jędrzej zaczął chwalić dzień nadzwyczaj ciepły, porucznikowi zrobiło się nagle zimno.

A teraz wracajmy do towarzystwa, zkompromitowanego nieco przez to porucznika — jak mówiliśmy — pół krząknienie pół ziewnienie. Delegaci wracali co prędzej do swoich kółek, z minami dosyć głupiemi, bo przestraszeni, i nic się pewnego nie dowiedzieli. Dyplomatyczny Jan Kanty Delwicz, jakby nic nie widział, wsunął co prędzej w szeroki turban chustkowy na szyi i brodę i usta i koniec ucha, a oczy przymrużył najnaiwniej. Karasiewiczowa piorunnem spojrzeniem przyjęła najdroższego małżonka, aż biednemu Karasiewiczowi zimna dreszcz przebiegła po kości pacierzowej. Pigwowa po raz pierwszy zdawała się ignorować Bilajewicza, który wracał z misyi, i dla kontenansu wszystkie cztery Pigwiątka obdarzyła serdecznemi kuksami. (C. d. n.)

zaludnili Rzym żebracy i włóczęgi; bandyci obdzierali podróżnych, a skrytobójcy zabijali w jasny dzień na ulicach stolicy świata.

Przesądy krzewiły się jak za najlepszych średniowiecznych czasów, szkoły publiczne i zakłady prywatne podupadły, a nad wolnym rozwojem nauk i umiejętności czuwała cenzura, której żaden uczony w świecie nie był w stanie przekonać, że ziemia się obraca, albo że galwanizm nie ma nic wspólnego z kalwinizmem, krom podobieństwa brzmienia.

Reakcya przeciw wszelkiemu nowatorstwu doszła do tego stopnia, że rząd nie stawiał przeszkód zniszczeniu nowo założonych plantacyj ryżu przez ciemny motłoch, dla tego, że zdaniem jego wyziewy z tych plantacyj zdrowiu szkodzić miały. Działo się to w maju roku 1816.

Podobnie jak w państwie Rzymskiem, sprawowano rządy w królestwie obojga Sycylii od czasu, jak król Ferdynand IV. do Neapolu powrócił. W ciągu lat dziewięciu, które spędził w Palermo z Neapolu wyparty, przyjęła na siebie jego opiekunka Anglia wszelkie kłopoty rządzenia, ale zarazem i wszelkie prawa. Król pupil miał zato dosyć czasu do polowania. W roku 1812 zmusił go rząd angielski do nadania Sycylii liberalnej konstytucyi i zwołania parlamentu na wzór angielskiego. Wpływ Anglii był tak wielki, że w lecie następnego r. musiała nawet królowa Karolina opuścić Sycylię dla tego, że nie chciała uznać uchwał świeżo kreowanego parlamentu. Opieka taka nie mogła być dla króla przyjemną. Wróciwszy po upadku Murata do Neapolu, nie zaniedbał znieść co prędzej wszystkie urządzenia, jakie zaprowadził na wyspie Sycylii pod opieką Anglii. Dnia 16. maja 1815 r., zebrał się parlament po raz ostatni — z jego rozwiązaniem zniesiono de facto angielsko-sycylijską konstytucyę, a z nią i porządek i bezpieczeństwo na tej pięknej wyspie. Taki sam obrót wzięły sprawy publiczne, a z niemi prywatne w królestwie Neapolitańskiem. Za powrotem króla do Neapolu jedynie austryackie bagnety trzymały w ryzie rozpasane nierozsądnem postępowaniem rządu namiętności. W Abruzzach potworzyły się bandy z oddziałów rozprzężonych armii Muratowskiej i niepokoiły nieustannie kraj cały. Nowe wojsko neapolitańskie ciągle organizowano bez żadnego skutku, bo w rok później nie mógł rząd temi siłami pokonać oddziału bandytów, którzy obdzierali podróżnych. Nieraz musiano zawierać z naczelnikami band zbójeckich formalne traktaty, mocą których przyrzekano im nagrody, jeżeli zaniechają swojego rzemiosła. Tak n. p. zobowiązano się sławnemu bandycie Furio płacić miesięcznie pewną kwotę, około 1000 złr. a to, jeżeli raczy chronić okolicę, w której panował, od napadów innych oddziałów. Dla rządu w Neapolu był jednak podobny stan rzeczy zupełnie normalnym, dla tego też opuścił w czerwcu r. 1817 14sto tysięczny korpus wojska austryackiego, zostający na żołdzie rządu neapolitańskiego, terytoryum królestwa Obojga Sycylii. Nie wiele to się przyczyniło do utrwalenia i umocnienia porządku. Ludzie, powołani w Neapolu do kierowania sprawą publiczną, zakładali wprawdzie szkoły, nawet wydali kilka rozporządzeń i ustaw zgodnych z dobrem publicznem i osobistą wolnością — niestety mając głównie wytężone wszystkie swoje zdolności i siły ku wykorzenieniu wyobrażeń, pozostałych po Muracie, wprowadzali w życie środki rządzenia, które prędzej czy później musiały wydać najgorsze owoce. Zaprowadzono cenzurę tak surową, że tylko Rzym lub Sardynia mogły z Neapolem rywalizować.

Przeciw tajnym stowarzyszeniom ogłoszono prawdziwie drakońskie prawa, co jednak jak w następnym artykule obaczymy, bynajmniej ich nieustannemu rozgałężaniu się nie przeszkadzało.

Przegląd dzienników.

AUSTRYA. Z powodu artykułu *Independance Belge*, w którym powiedziano, jakoby było zamiarem mocarstw europejskich, oddać królestwo lombardzko weneckie pod wyłączne rządy jednego z arcyksiążąt i stosunek jego do Austryi uczynić niejako lennym, powiada *Austr. Gaz.*: „Myśl ta podoba się nieprzyjacielom Austryi, którąby chciano tym sposobem skazać na rolę Turcyi. Nie mają nadziei, by Austryi można odebrać jaki kraj, chcą go więc odłączyć od Austryi; nie śmią łamać traktatów. chcą je więc nadwerężyć. Wątpimy, żeby który gabinet ośmielił się wystąpić z taką propozycyą przed Austryą; na taką propozycyę nie można by inaczej odpowiedzieć jak armatami.

— D. 30. b. m. opuściła Wiedeń N. Pani towarzysząc królewiczównej neapolitańskiej i księciu Ludwikowi bawarskiemu, udającym sie na Tryest do Neapolu. N. Pan odprowadził odjeżdżających do dworca kolei wraz z naczelnikami władz wojskowych i cywilnych.

ANGLIA. *Morn. Herald* organ gabinetu Derby, odpowiadając *Morn. Postowi* organowi Palmerstona, który twierdził, że lord Malmesbury przyrzekł Austryi czynną pomoc przeciwko Francyi i Sardynii, jak też, że ten lord chciał w r. 1852 zawrzeć koalicyę przeciwko uznaniu Ludwika Napoleona, powiada, że twierdzenie to, a raczej jak się *Morn. Herald* wyraża, denuncyacya *Morn. Posta*, jest zupełnie fałszywą i na niczem nie opartą. Rząd Wielkiej Brytanii, powiada dalej *Morning Herald*, zwraca uwagę wszystkich swoich sprzymierzeńców na niebezpieczeństwa, jakiemi zagraża tak tronom jak i interesom narodów gwałtowne zerwanie układów. Spodziewamy się nawet, kończy Herald, że uprzejma, lecz oraz stanowcza rada, jaką dał rząd angielski wszystkim chciwym wojny mocarstwom, uśmierzy burzę. Wojna włoska zmieniłaby się niezawodnie w wojnę europejską; a któżby śmiał myśleć, że w takiej wojnie europejskiej nie wzięła by Anglia udziału? Co do drugiego twierdzenia *Posta* powiada *Herald*, że w r. 1852 starał się lord Malmesbury naujsilniej wyjednać u rządów uznanie nowego cesarza Napoleona, jak też, że Anglia wyprzedziła w uznaniu wszystkie inne mocarstwa.

FRANCYA. Pomimo zapewnień niektórych dzienników, że do wojny nieprzyjdzie, czynią we Francyi ciągle przygotowania, wcale nie pokojowe. W Marsylii i Tulonie gromadzą z wielkim pospiechem przybory wojenne. Grenoble, Avignon i inne bliżej granicy szwajcarskiej leżące miasta są tak wojskiem przepełnione, że na jego umieszczenie koszary nie wystarczają. Grenoble mianowicie wygląda teraz jak główna kwatera z czasów wojen pierwszego cesarstwa; z każdym dniem przybywają nowe wojska, które się całkiem otwarcie mienią „armią włoską." *Constitutionnel* odpowiadając na artykuł *Daily News*, który twierdził, że Francya zdoła tylko 130.000 żołnierza wyprowadzić w pole, mówi: „Francya mogłaby do 1. czerwca postawić 672.000 ludzi pod bronią, a z tych wyprowadzić do boju 497.000. „Artykuł ten *Constit.* przestraszył spekulantów giełdowych. — Na giełdzie obiega pogłoska, że i rząd sardyński zamierza zaciągnąć we Francyi pożyczkę w sumie 50 milionów franków, — tudzież że według prywatnych doniesień telegr. z Londynu, zawartą została u Rotszylda pożyczka austryacka pod dość dobremi warunkami. Wynosi ona 6 milionów funtów szter. (około 60 mil. złr.) podług kursu 80 za 100.

— *Patrie i Presse* wystąpiły znowu z artykułami nieprzyjaźnemi Austryi; w skutek tego upadły w kilku godzinach papiery bardzo znacznie. Powodem artykułów tych jest *Times*, z artykułów której można wnosić, że Anglia w razie wojny stanęła by po stronie Austryi. *Presse* radzi Anglii, aby nie przeszkadzała Francyi w zdobyciu Włoch. Wątpią jednak, by Anglia posłuchała rad *Pressy*, gdyż jak zapewniają według wiarygodnych źródeł, będzie Anglia neutralną tylko w razie wojny z Sardynią; na wypadek zaś wmieszania się Francyi, stanie Anglia po stronie Austryi. Gabinet berliński ma w tym względzie zupełnie zgodnie z angielskiem postąpić gabinetem.

— *Monitor* zamieścił urzędowe doniesienie o odbytych na dniu 30. stycznia zaślubinach księcia Napoleona z księżniczką Klotyldą.

JOŃSKIE WYSPY. Donoszą jako o rzeczy pewnej, że Gladstone będzie tymczasowo sprawować urząd lorda komisarza wysp, aż do przybycia następcy stałego, którym ma być Sir Henry Storks były ang. komendant w Skutari. Parlament, który jak to już donosiliśmy, zagaił 25. stycznia Gladstone, odpowiedział na tegoż mowę adresem, w którym się oświadcza za unią z Grecyą.

KSIĘSTWA NADDUNAJSKIE. Nowo obrany hospodar Kouza wydał jako książę Aleksander Jan I. proklamacyę do narodu, w której przyrzeka, objąwszy rządy z woli Boga i narodu, rządzić *zjednoczonemi* księstwami według zasad *wolności, równości i braterstwa*. Do proklamacyi tej jest dołączona przysięga, którą złożył narodowemu zgromadzeniu. Ponieważ książę mały posiada majątek, więc otrzyma prócz listy cywilnej w sumie 30.000 duk. rocznie, także 15.000 dukatów na sprawienie wystawy książęcej. — Nowe paszporta mołdawskie są zaopatrzane w napis: „Zjednoczone księstwa. W imieniu J. Wys. panującego księcia Aleksandra Jana I." Według depeszy telegr. ze Stambułu do *Hamb. Nachr.*, zaprotestowała Porta przeciwko wyborowi Kouzy, mieniąc ten wybór nieprawnym.

NIEMCY. Sejm w Mnichowie rozpoczął już swoje czynności; rząd gniewa się widocznie, król jak to zwykle bywa, niezagaił osobiście sejmu, tylko jeden z książąt; mowy tronowej nie było wcale, odprawiono tylko zwykłą ceremonię zaprzysiężenia. Gdyby dr. Weiss nie był obrany wice-prezydentem, byłby, jak słychać, król osobiście sejm mową zagaił. Deputowani są widocznie niezadowoleni; słychać, że w adresie, jaki do tronu będzie podany, wyrażonem będzie ubolewanie z powodu istniejących między rządem a nowym sejmem nieporozumień. Mniemają, że rząd dla świętej zgody poświęci tego lub owego z ministrów.

ROSYA. Dzienniki rosyjskie przemawiają, jak pisze *Czas*, coraz śmielej za systemem jawności i wolności druku; nawet *Pszczoła Północna* uważana dotąd w dziennikarstwie rosyjskiem za wsteczną, popiera system jawności. Wielka sprawa włościańska wejdzie wkrótce w trzecie stadyum, gdyż druga czynność kończy się już; komitety gubernialne szlacheckie, mające skreślić projekty tej reformy w sześciomiesięcznym terminie od swego otwarcia, kończą jeden po drugim swe zadanie, zamykają obrady, przesyłając skreślone projekta komisyom centralnym, lub wprost komitetowi głównemu rządowemu w Petersburgu. Ze siedmiu komitetów gubernialnych szlacheckich w prowincyach polskich, pięć już ukończyło swe projekta i przesłało do komisyj centralnych, wileńskiej i kijowskiej.

SERBIA. Donosiliśmy już o uchwale skupczyny, w moc której mają być wszyscy austryaccy Serbowie, którzy piastują w Serbii wysokie urzęda, wydalni z kraju. Senat jednak, jak donosi korespondent z Belgradu do *Austr. Gaz.*, nie potwierdził tego wyroku. Pomienionych urzędników suspendowano tymczasowo, oczekując przyjazdu księcia. Wukczyc wziął dobrowolnie dymisyę. Skupczyna napisała adres dziękczynny do Garaszanina, dziękując mu za trudy i starania około dobra publicznego, podczas gdy był ministrem spraw wewnętrznych. — Telegraficzna depesza donosi z Belgradu z 1go b. m., że skupczyna uchwaliła wotum nieufności przeciwko wszystkim ministrom i senatorom, prosząc namiestnika książęcego, by tych dygnitarzy bezzwłocznie odsądził od urzędów.

WŁOCHY. Jak piszą z *Turynu* do *Kol. Gaz.*, mianował już król jenerałów, którzy obejmą dowództwo w razie wojny. Król zatrzymał dla siebie naczelne dowództwo armii, lecz faktyczne dowództwo obejmie minister wojny la Marmora. Pochód ku Alessandryi trwa jeszcze ciągle.

— Rada gminna Turynu wręczyła księciu Napoleonowi adres, w którym powiedziano: „Oby gratulacye były oraz zwiastunkami urzeczywistnienia życzeń, jakiemi przepełnione są serca wszystkich ludzi, którzy mają szczęście być Włochami". Książę odpowiedział: „Ja oświadczę cesarzowi te wyrazy sympatyi dla Francyi i jej monarchy, jakiemi przepełniony jest adres. Związki familijne, jakie zawierają monarchowie, mogą tylko wtedy wywrzeć wpływ na szczęście i wielkość narodów, jeżeli dynastye, które zawierają te związki, opierają się na miłości i woli narodów. Chciejcie panowie być tłumaczami moimi w obec swoich współobywateli i oświadczcie im, że najszczerzej sobie życzę szczęśliwej przyszłości dla ojczyzny Włochów". W turyńskiem kolegium Karola Alberta zaszły niespokojności, do których uśmierzenia musiano przedsięwziąść surowe kroki dyscyplinarne. Słychać o odwołaniu posła amerykańskiego. *Operajo* utrzymuje, że przygotowano projekta do prawa podwojenia podatku gruntowego i ograniczenia niektórych swobód konstytucyjnych. *Opinione* przyznaje, że lord Malmesbury przysłał do Turynu notę, w której odradza rządowi sardyńskiemu zamysły wojenne.

Przegląd pism czasowych polskich.

Czas. Korespondent poznański daje sąd o pierwszym numerze polskiego w Petersburgu wychodzącego dziennika *Słowo*. Nie mogliśmy mieć jeszcze pod ręką tego nowo narodzonego w stolicy nad Newą organu naszej mowy, więc dajemy dosłowne wyjątki z wspomnionej korespondencyi: „Powierzchowność pisma prawie wytworna, język polski czysty, pełny. O wiadomościach politycznych niema co mówić. Feletony dwa poważne treścią i dobrym kierunkiem, miłą są nam zapowiedzią, że w tej części dziennika czytelnicy zdrowszy znajdą pokarm umysłowy, jak wieczne powiastki i romanse, któremi w feletonach swych pisma warszawskie tak obficie obdzielały publiczność. Zdaje się, że i

---

Przeglądy bibliograficzne.

(9) Dziennik podróży po Litwie i Żmudzi odbytej w 1856 roku przez Dr. Tripplina (2 tomy) Wilno r. 1858. Są ludzie do niewykurowania. We Francyi był nawet od najdawniejszych czasów zakład *des incurables*. W jakiej proporcyi uczucia i namiętności działają na te choroby do niewykurowania, trudno by stanowczo oznaczyć. Zdaje się wszakże, że pomiędzy temi chorobodajnemi uczuciami najgłówniejszą rolę odgrywa miłość własna, która różne przybierając postacie, zapełnia najwięcej szpitale chorób moralnych. Takim człowiekiem do niewykurowania jest niezaprzeczenie nasz Dr. Tripplin; a że upartą być musi choroba, najlepszym jest dowodem, że choć sam lekarz, i lekarz podobno zdolny; choć tyle ładnych popisał rzeczy o psychologicznych chorobach i aberracyach — nie jest w stanie wyleczyć się sam, ani nawet poznać, że jego uparta i chroniczna choroba, którą jest mania pisania, pochodzi oczywiście ze zbytku miłości własnej. A przecież leczyli go zimnemi okładami lodowych recenzyj, dozami krytyk spadającemi mu na głowę zewsząd. Niepomogło. Z początku chwalili go; a więc pisał ciągle. Poźniej zaczęli go ganić; a więc pisał więcej jeszcze. Jakiś czas był zamilkł, a nawet wyniósł się za morze, i próbował się wyleczyć, jak dawni ludzie z grzechów śmiertelnych, pielgrzymką do ziemi świętej. I pan Bóg go podobno nawidził na tem, co miał najdroższego, i skarał jego miłość własną w sposób nader dotkliwy. Nic to nie pomogło. Odwidził ziemię świętą, przebolał stratę, wrócił do kraju, i pisze dalej. Zapewne nic cierpliwszego nad papier, który od tylu wieków, tylu prasami ciśniony, tyle już wypowiedział głupstw, i biedak nie zarumienił się ani razu. Cierpliwą jest i publiczność, która się tyle musi nasłuchać i naczytać. Ale cierpliwszym nad to wszystko w swej manii admirowania siebie zawsze i wszędzie, jest p. Tripplin. Najpiękniejszej kobiecie znudziłoby się wreszcie siedzieć przed źwierciadłem, i własnym przypatrywać się wdziękom. Panu Tripplinowi nie znudzi się pisać tak wiele, zawsze siebie tylko widzieć wszędzie, i o sobie tylko pisać. Czy po górach norweskich zdybywać będzie jakie starożytne na nowożytny strój przykrojone zagi; czy po przedmieściach francuzkich będzie wędrował, czy pod niebem hiszpańskiem po zwaliskach Maurów; czy pomknie okrętem do Otaiti, czy balonem zajdzie do księżyca — wszędzie p. Tripplin widzi najprzód p. Tripplina, i tegoż p. Tripplina widzą, kochają i podziwiają wszyscy ziemscy i księżycowi mieszkańcy, a radzą się go wszyscy najzawzięciej, i leczy też wszystkich najdoskonalej!

Nieraz przychodziły nam te myśli do głowy, gdyśmy czytali mnogie przez niego napisane tomy; i nie raz mieliśmy sposobność powiedzieć coś podobnego; i drudzy nagadali mu to do syta. Teraz, dostawszy w ręce to dziełko, o którem mowa — pomyśleliśmy sobie: Teraz przecie już tylko o Żmudzi pisać będzie, gdy przecie tam po to tylko pojechał! Owoż właśnie przeciwnie. Jak to kilkakrotnie powtarza, i wymawia nie tylko krytykom swoim, ale w ogóle wszystkim mieszkańcom nadwiślańskim, którzy go już zrazili nieraz i boleśnie dotknęli niepoznaniem się na nim, on rad uciec z Kongresówki, którą się już przesycił (bo sam ją przesycił). On nad Niemnem i Wilią, nad brzegami morza bursztynowego, w osadach najdawniejszych starej Litwy i jej żmudzkich praojców, szuka przyrody nowej, dziewiczej. Nie dziewiczej swemi pięknościami, ręką Opatrzności rozrzuconemi, ale dziewiczej usposobieniem swem dla Dr. Tripplina, dziewiczej w naiwnem podziwianiu Dr. Tripplina. Jemu potrzeba nowych ludzi, by się mógł przed nimi chwalić, cuda bajeczne rozpowiadać o swej przeszłości, słuchać miłe swą szczerością pochwały, a nadewszystko — bo się nie jest darmo filantropem — leczyć i wyleczać, pod warunkiem by mu wolno było co prędzej wyśpiewać epopeję własnych czynów.

To też co kilka kartek p. Tripplin znajduje dawnych znajomych, którzy choć go nie znają z osoby, ale znają z reputacyi, i którzy biegną ku niemu radzi go poznać. Między tymi najwięcej p. Tripplin posiada wielbicielek; bo kto czytał pisma jego, przekonał się, że pan Bóg dał p. Tripplinowi romantyczne usposobienie, a dawszy usposobienie, nie zażałował mu też sposobności. Być bohaterem romansowym, to jego największa słabostka. Wszędzie go też przyjmują i na Litwie i na Żmudzi z rękami otwartemi; omal go nie rozerwą, jak ś. p. Orfeusza rozkołysane pieniem jego bachantki. A jeżeli już mu się przez nadzwyczajny wypadek nie zdarzy znaleść znajomych i wielbicieli, to przynajmniej zdybie na stoliku jedną z swych książek licznych. Dodajmy, że najwięcej zdybywał swoje balonowe wędrówki; co nawiasem powiedziawszy, dawałoby nie najlepsze wyobrażenie o smaku Litwinów i Żmudzinów, gdybyśmy naprzód niewiedzieli, że to są fantazyjne arabeski, w które szanowny ten autor lubi przystrajać pisma swoje. Czyli raczej, do tych to arabesków przystosowuje on potem dziełko swoje, by były ramami godnemi obrazu tego *ja*, który szczęśliwy ten śmiertelnik widzi wszędzie.

I być to zapewne może, że u gościnnych a mniej znających go Litwinów i Żmudzinów, w Wilnie i Klajpedzie, miłym był gościem; lecz można się przecie zapytać: czy godzi się dwa tomy napisać, i kazać je potem kupować na to, abyśmy się o tem dowiedzieli? Bo Bogiem a prawdą, nie wiele się więcej dowiedzieliśmy z tych dwóch tomów, z których jeden ma 267, a drugi 230 stronnic. Prawda, że w tem dziełku wydawca skromną objętość treści starał się nagrodzić obszernością druku.

I tak, dowiadujemy się — wszystko razem zsumowawszy — że wyjechał, aby się na Żmudzi kąpać w morzu. Dowiadujemy się dalej o wszystkich jego popasach, noclegach, kilkodniowych odpoczynkach, zabawach dawanych dla niego, i wycieczkach do majętniejszych właścicieli, którym za gościnność odpłaca się jak może, i jak umie. A więc chwali samych, chwali żony i córki, opisuje ich domy, ogrody, salonowe przystrojenia. I to niby najlepsza strona tego dzieła. Bo rzeczywiście wszędzie prawie bez wyjątku, podnosi i chwali charakter narodowy Litwinów i Żmudzinów. Wprawdzie nieczekaliśmy na p. Tripplina, abyśmy dopiero poznali te rysy wszystkie charakterystyczne dzielnego tego i serdecznie nam pobratymczego narodu. A nawet powiemy szczerze, że ten sposób chwalenia staje się przez to samo ckliwym, że te pochwały przyczepia do swojej własnej osobistości. Objechawszy znaczną część Litwy i Żmudzi, nie podniósł rysów narodowych na stanowisko wyższe i ogólniejsze, a zatem godniejsze i chwalonych i chwalącego; ale spisując swoje własne drobniutkie zdarzenia, i niemniej drobne wra-

korespondencye krajowe znaczną zajmą rubrykę; z listów zamieszczonych w pierwszym numerze, w ogóle zajmujących, nie możemy pominąć poznańskiego. Lekki ton (nie chcemy użyć innego wyrazu), w jakim autor mówi o takiej ilustracyi narodowej jak August Cieszkowski, i obywatelu pełnym zasług i poświęcenia dla spraw krajowych, Gustawie Potworowskim, jest smutną zapowiedzią, w jak lekki i fałszywy sposób stosunki nasze w Słowie oceniane będą. By skończyć z Słowem, powiemy, że depesza telegraficzna na końcu dziennika zamieszczona jako *własna*, śmieszną się być wydaje w piśmie dwa razy na tydzień wychodzącem".

Polityczna rubryka czasopismów warszawskich może od czasu do czasu być ciekawą dla nas jako skazówka tego, nad czem się w danych chwilach szerzej rozpisują, a o czem przemilczeć muszą. Zresztą oryginalnych artykułów politycznych tam nie szukaj; czasem tylko jak niewinny kometa przybłąka się rozprawka ekonomiczna, ginąca śród rozpraw kronikarskich, bibliograficznych, korespondencyj z kraju i zagranicy, które są cechą i największą ozdobą dzienników warszawskich, ale dla nas rzadko kiedy mogą być zajmującemi, gdyż są albo nadto ogólnemi, albo nadto miejscowych kwestyj dotykają. Z powieściami, które wypełniają cały feleton, spotkamy się w księgarniach naszych w osobnem odbiciu, kiedy już się ukończy druk ich w dzienniku.

Otóż przerzuciwszy kilkanaście numerów, wyjmujemy z jednego z ostatnich **Gazety Warszawskiej** artykulik, napisany w sprawie, któraby zapewne w Czechach podniosła cenę papieru pisowego i drukowego, ale u nas wydać się musi bardzo naiwną.

„W roku niedawno ubiegłym, objawiła się u nas dość silna dążność do przetworzenia pisowni naszej na sposób czysto logiczny, bez względu na to, że pisownia każdego języka, tworząc się na drodze ściśle związanej z jego historyą, w szczegółach swoich zachowuje zawsze pewne osobliwości, które powaga zwyczaju narodowego nakazuje szanować, przynajmniej do czasu, kiedy ogół da się przeświadczyć o ich niedogodności i małej wartości. To przekształcenie pisowni naszej zależeć ma głównie na oddawaniu pojedynczym znakiem każdego głosu i brzmienia współgłoskowego, kiedy dotąd na oddanie niektórych potrzebujemy dwóch znaków, n. p. *ch*, *rz*, *cz*, *sz*, i t. d. Dalej zależy jeszcze na tem, ażeby samogłoskę *i* pisać w tych miejscach tylko, gdzie jest samogłoską, a zastępować znakiem miękczącym tam, gdzie tylko znak zmiękczenia wyobraża. Wyraz *niesie* podług takiej pisowni pisać należy *ńeśe*....

„Nie można zaprzeczyć logiczności tej myśli, ale uznajemy ją śmiało za niepraktyczną, bo przy dzisiejszem usposobieniu ogółu w czyn wprowadzoną być nie może. Nie w zeszłym to roku dopiero występowano z podobnemi projektami.

„Ale w dzisiejszym stanie rzeczy, kto stanowić będzie o możności lub niemożności takiego pisowniczego przewrotu? o dogodności lub niedogodności tego lub owego z kształtów projektowanych dla głosek naszej pisowni? Kto rozwiąże nader ważne pytanie, czy nowo wprowadzona pisownia z wejściem w użycie powszechne, czyniąc niezrozumiałemi, mniej czytelnemi książki podług dawnej pisowni wydane, przyczyniając się tym sposobem do pewnego rozbratu z naszą przeszłością literacką i dziejową, nie zrządziłaby tym sposobem więcej szkody, niż zapaleni jej stronnicy obiecują sobie korzyści?"

Gazeta Warszawska ozdobiła teraz kolumny swoje rozprawą historyczną zacnego ziomka naszego p. *H. Schmitta*, p. n. „*Sprawa Łokietka z Krzyżakami o Pomorze*", która się już ciągnie przez kilka numerów.

Korespondencye.

(Towarzystwo wydawania tanich książek. Sprawa włościańska).

(Spóźnione). **Z Gubernii Podolskiej** *dnia 28. grudnia*. W Żytomierzu zawiązało się towarzystwo w celu wydawania tanich książek. Należą do niego *J. I. Kraszewski*, *Groza*, *Z. Kaczkowski* i inni. Uzyskali przywilej i wysłali do Berlina po wszystko czego potrzeba do drukarni. Zebrali składkę wynoszącą dotychczas 7000 rś. Chcą rozpocząć wydawnictwo *Biblioteki wiejskiej popularnej pożytecznej a bardzo taniej*. Dalsze fundusze będą się zbierać przez *akcye*. Kto kupi akcyę na 100 rś., odbierze kapitał z procentem 4% w przeciągu lat *dziesięciu*, ale nie pieniądzmi, tylko książkami wydawanemi przez towarzystwo, które akcyonaryuszom będą liczone po niższej cenie, niż w handlu dla innych. Za pośrednictwem marszałków będzie Towarzystwo rozpowszechniać swoje druki w najliczniejszych egzemplarzach. Chodzi o to, aby mogły być tak tanie, jakfrancuzkie wychodzące w Bruxelli. Towarzystwo wejdzie w stosunki z wszystkiemi znakomitościami literackiemi i z towarzystwami uczonych. Prace literatów nabywać będzie towarzystwo za cenę daleko wyższą, niż nakładcy dotąd dawali. Cały zysk z przedsiębiorstwa tego przeznaczony na wzbogacenie funduszu zakładowego i wynagradzanie jak najsowitsze autorów.

Wielkorządca nasz kijowski nie pozwolił panom delegatom komitetowym rozjeżdzać się na święta do domu, aby kończyli dzieło włościańskie. Kłótni i wrzawy tam dosyć, bo zasiada 27 osób. Wszystko idzie na wota, i przewotowywa się nazajutrz, aby wytrawione zdania służyły za podstawę prawa. Mało co objawia się publiczności, zachowują ścisłą tajemnicę, aby opinia krążąca w mieście nie paraliżowała zdań przy obradach.

(Odpowiedź na list II. pana Hipolita Witowskiego.)

Lwów *d. 25. stycznia*. Na list pierwszy pana Witowskiego (obacz *Przegląd* nr. 75 z 17. grudnia z. r.) odpowiedziałem w nrze 79 *Przeglądu* dnia 29. grudnia z. r., postanowiwszy na dal na wszelkie reklamy z powodu listów moich o zakładzie Dublańskm nieodpowiadać. Wyszedłem bowiem z tej zasady, że kogo sprawa tej instytucyi szczerze zajmuje, ten nie będzie szczędził pracy, aby się o prawdziwości moich twierdzeń przekonał; a wówczas jestem pewny, że mi przyzna słuszność; kto zaś albo obojętnem okiem na tę sprawę patrzy, albo za opieszały, aby się nią szczerze zajął, lub wcale jest stronniczym: o tego zdanie, sąd, a nawet publiczne wystąpienie troszczyć się nienależy, bo sprawie zakładu tyle z nim, ile bez niego; głos jego odbije się głucho po kraju, czas zatrze ślad echa, a sumienie powie mu w końcu, że źle zasłużył się krajowi.

Do takich wniosków upoważnia mię przekonanie, że uwagi moje znalazły uznanie nawet u osób kierujących sprawami zakładu Dublańskiego, których tylko przez uszanowanie niewymieniam. Cóż więc w takim składzie rzeczy mogą mnie obchodzić ozwania się ludzi, których ani znajomość przedmiotu, ani stósowne przygotowanie, ani czynny udział w tej sprawie nieupoważnia do głosu; ale tylko żądza szermierki, próżność pisarska, jeżeli nie cele uboczne podają im pióro do ręki? Piszącemu w sprawach publicznych powinno chodzić o skutki prac jego; niema więc potrzeby odpowiadać na złośliwe zaczepki, bo by to była walka z wiatrakami. I niezawodnie nieodpowiedziałbym tym razem na list pana H. Witowskiego, gdybym w liście jego umieszczonym w nr 7. *Przeglądu Powszechnego* z dnia 22. stycznia b. r. nie natrafił na dwa ustępy za nadto rażąco sprzeciwiające się sobie, aby je pominąć można; z których znowu ostatni za nadto jest oszczerczym, aby mi wolno było nieodeprzeć zarzutu fałszu, jeżeli udowodnić mogę, że szanowny autor Z zacisza pracy, w stronniczym swoim zapędzie sam się minął z prawdą.

I tak w pierwszym przezemnie podniesionym ustępie odzywa się pan Witowski w ten sposób: „Znowu *z zacisza pracy* odzywam się spokojnie i stanowczo. Spokojnie, bo nas ożywia wyrozumienie i miłość prawdy; stanowczo, bo pisząc pod jej natchnieniem, nie wdajemy się w szermierkę;" i t. d.

Po takim ustępie, któż wątpić może o nieomylnej prawdzie, o szczytnem natchnieniu, o męzkim spokoju, o stanowczem orzeczeniu sprawy, z któremi w dalszym rozwoju listu swego p. H. Witowski wystąpić przyrzeka?!

Tymczasem jakby na przekorę tak szumnego i dumnego wstępu, jakby na upokorzenie tej przedwczesnej przechwałki znajdujemy w tymże samym liście drugi ustęp tej treści:

„W Przeglądzie Powszechnym z d. 28. grud. 1858 r. (a więc w liście Budzimierza Sochy) wyczytujemy, że w Dublanach rozpoczęto 1857 r. prace w celu założenia rolniczo botanicznego ogrodu, szkółki owocowych i leśnych drzew i chmielarni, lecz że to wszystko już 1858 r. zostało zdezorganizowane. Tymczasem wiemy z pewnością, że tam niema i śladu tych prac. Pokazuje się, że p. Budzimierz Socha pomylił się; radzimy mu przeto, aby się udał do pana Ksaw. Abancourt, który był podówczas (1857 r.) tymczasowym zastępcą dyrektora, a ten go najlepiej w tym względzie zainformuje, gdzie założył".

Pozwoli p. H. Witowski, że mu za radę przysłużę się radą; a niechcąc go po informacyę odesłać do pana Ksaw. Abancourt, który obecnie o kilkanaście mil ode Lwowa na swej majętności gorzelnią zajęty, radzę mu udać się do kancelaryi c. k. galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego, tam wziąść do ręki XXIII. tom rozpraw tego Towarzystwa, otworzyć stronę 260, a znajdzie w pozycyi ósmej te słowa: „Założenie ogrodu botanicznego 21 złr. 17 kr." Spodziewam się, że dla miłości prawdy, pod której natchnieniem p. H. Witowski wstęp swój napisał, nie zechce zarzucić komitetowi c. k. galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego zfałszowanie rubryk wydatków na szkołę w Dublanach, i spokojnie przyzna się do winy, że się *stanowczo* pomylił; a jeżeli w r. 1858 dowiedział się z pewnością, że w Dublanach niema śladu rozpoczętej 1857 r. organizacyi botanicznego ogrodu, to ją dla tej prostej przyczyny nie znalazł, że ją w r. 1858 zdezorganizowano, jak to w liście moim powiedziałem—a nie dla tej, że jej nierozpoczęto, jak mylnie p. H. Witowski twierdzi. Mając dosyć materyału do podobnych uwag nad ostatnim listem Z zacisza pracy, wstrzymuję się od nich, zostawiając sąd zdrowemu rozsądkowi szanownych czytelników o wartości pracy, która albo największą nieznajomość przedmiotu zdradza, albo podjętą jest w nieprawych zamiarach; a natomiast podam niektóre szczegóły o rozpoczętej organizacyi botanicznego ogrodu w Dublanach w r. 1857, już to w celu bliższego objaśnienia sprawy, już w nadziei, że uwagi moje mogą być wskazówką na przyszłość.

Za porozumieniem się i radą ówczesnego referenta spraw dublańskich Włodzimierza hr. Russockiego, któremu zakład Dublański wytrwanie w największych kłopotach i dzisiejsze istnienie głównie zawdzięcza, bo objął referat w chwili zupełnej dezorganizacyi i w chwili chylenia się zakładu do niezawodnego upadku; powtarzam, za porozumieniem się i radą tego pełnego życzliwości i gorliwości dla sprawy referenta, rozpoczęła dyrekcya zakładu w r. 1857 z wczesną wiosną organizacyę botanicznego ogrodu tem, że część głównego ogrodu po prawej stronie od kaplicy wykorczowano całkiem z zarośli i drzew nieużytecznych, że ją sprawiono w znaczniejszej górnej części pod okopowe rośliny, zaś w dólnej uczyniono pierwszy zarys do botanicznego ogrodu. Oddział ten dólny porznięto na równe trzystopowe kwatery, z których po dwie oddano do uprawy każdemu z uczniów. Pod nadzorem adjunkta wykładającego botanikę, uprawił każdy uczeń jedną kwaterę roślinami okopowemi, drugą zbożami. Tak uczyniono pierwszy krok do rolniczo-botanicznego ogrodu, przy pożytku i zabawie uczącej się młodzieży, niezapominając i o ozdobie kwiatowej, która wieńcem otaczała ten mały oddział ogrodu.

Niektóre rośliny tego młodziutkiego zakładu były ozdobą pierwszej r. 1857 w Dublanach urządzonej wystawy płodów rolniczych, która zyskała zaszczytne uznanie Jego Exc. Namiestnika kraju, Jego Exc. ś. p. arcypasterza Baranieckiego, i wszystkich dostojnych gości, a powtórzona na ogólnem zgromadzeniu gal. Tow. gosp. odznaczyła się widocznie między innemi na wystawie znajdującemi się płodami. (Obacz. tom XXIII. rozp. gal. Tow. gosp. strona 212.)

Lecz o tych i tym podobnych szczęśliwych zdarzeniach w zakładzie Dublańskim z r. 1857 niema w pismach czasowych śladu, bo ich nieuważano za szczególną zasługę, ale za powinność obywatelską, i odtrącano wszelkie oferty panegirzystów.

W roku następnym zamierzono rozprzestrzenić ogród botaniczny na całej części głównego ogrodu po prawej stronie kaplicy, i połączyć go z działem czwartym, z którego oprócz płaszczyzny na pole próbiercze dla uczniów, przeznaczono pięć morgów na przyszły sad, na szkółkę drzew owocowych i na chmielarnię. W tym celu wyprawiono już z wiosną 1857 r. te pięć morgów pod hreczkę pomimo, że wedle przepisanej (w tom. XVII. r. T.) rotacyi owies w to miejsce przypadał; a w późnej jesieni i w zimie znawożono je silnym pognojem, aby używszy je w r. 1858 pod rośliny okopowe, jeszcze dokładniej rolę pod ogród wyrobić. Z tych pięciu morgów miało w r. 1859 służyć trzy morgi pod sad, a z tych miał być morg jeden już w tym samym roku zasadzony trzyletniemi szczepami, przyrzeczonemi z ogrodu Łówieckiego, z kąd już przed trzema laty kilkadziesiąt drzewek owocowych zakład otrzymał. Pozostałe dwa morgi na sad przeznaczone, miały się z laty dopełniać drzewkami ze szkółki Dublańskiej, dla której na tej samej przestrzeni miał być morg cały wydzielony. Piąty morg tej przestrzeni, ku jej pochyłości, miał być pod uprawę chmielu oddany, i w tym celu ofiarowano już w r. 1857 z Łówczy dwie kopy tyk chmielowych, które się w Dublanach znajdują.

Aby zaś jak najstósowniej tak miejsca użyć, jak i połączyć wszystko w pewną harmonijną całość z głównym ogrodem i z graniczącem obejściem folwarcznem, uprosiła ówczesna dyrekcya rady i od

---

żenia, zdaje się powtarzać ciągle: „Ja was chwalę, dla tego, żeście mnie w oczy chwalili, wozili mnie od dworu do dworu, od komina do komina, i wszędzie mnie sowicie traktowali, a nawet radząc się mnie jako lekarza, poszanowali i z tego względu zdolności moje."

Zrobimy tu jeszcze jedną pobieżną uwagę, która się nam mimowolnie natrąciła. Znaliśmy o tyle Litwę i Zmudź, abyśmy wiedzieli choć cokolwiek o mieszkających tam rodzinach szlacheckich. Ale niewiedzieliśmy zaprawdę, że tam mieszka także mnóstwo hrabiów. A tymczasem szczęśliwy Dr. Tripplin co chwila zdybuje się z samymi hrabiami. Zdaje się zaprawdę, że wszyscy hrabiowie z najdalszych okolic, dali sobie słowo, aby się usadowić na drodze, którą p. Tripplin miał przejeżdżać.

Cóż więcej da się jeszcze powiedzieć o tem dziele? Zaprawdę nie wiele. Daje on tu i ówdzie dłuższe nawet czasem opisy historyczne miast i miasteczek jakie przebył, daje nawet rys historyczny Żmudzi. Ale są to wszystko wiadomostki luźne, niepowiązane i nie nowe wcale. Czerpie je na prawo i na lewo z rozmaitych dzieł sto razy lepszych od jego własnego dzieła. A że je porozrzucał, jakby kucharz cukrujący leguminkę, i przechodzi je wszędzie pobieżnie, bo mu spiesznie wrócić do p. Tripplina: więc godzi się spytać, jaki właściwie pożytek dla czytającego ogółu może przynieść takie dziełko? jakie mu też w literaturze naznaczyć można stanowisko?

I właściwie dla tych to właśnie pytań daliśmy sobie pracę przebiegnąć te dwa tomy, i pozwoliliśmy sobie znudzić czytelników temi straconemi nad niem słowy kilkoma. Bo tak sumiennie powiedziawszy, całe to dzieło p. Tripplina nie zasługuje na rozbiór poważniejszy, który zachować należy dla dzieł ważniejszych. Ale zadając w końcu te pytania, chcieliśmy powszechną zwrócić uwagę na to nadzwyczajne mnożenie się w czasach teraźniejszych, podobnego rodzaju literatury, liczącej się w naszem pismiennictwie na cyfry tomów, ale nie na cyfry rzeczywistej ich moralnej czy umysłowej wartości. Przyczyną zaś tego, którą warto naznaczyć wyraźnie i stygmatyzować, jest ta nieszczęśliwa przemysłowość, która pomału wciska się i na pole literatury naszej. Przemysłowość księgarzy, właściwa im niejako, bo są handlarzami, przeniosła się do piszących, którzy nie powinni zapominać, że im się nie godzi być przemysłowcami. I mniejsza by o nich, choćby w końcu, jak się to przemysłowcom zdarza, zbankrutowali. Ale kilkanaście, kilkadziesiąt takich bankrutów, mogą sprowadzić bankructwo smaku dobrego w narodzie. Pisarze (jeżeli już dziś trzeba gadać językiem przemysłowców) są niejako bankierami trzymającymi w narodzie swoim wielką księgę moralnego i umysłowego *habet i debet*. Narodowych uczuć, pojęć, smaku i oświaty bank trzymając w ręku, należy się być sumiennym, i nie okpiwać na *ażiach wexlowych*, które dla siebie wyciągają z ksiąg swoich, zostawiając powszechności te coraz na wartości tracące akcye, któremi gdyby się zapełniły krajowe księgozbiory, ledwie by nie przyszło wzdychać za jakim nowym Omerem.

Pomiędzy tego rodzaju spekulantami p. Tripplin jedno z pierwszych miejsc zajmuje, i tośmy głównie chcieli wypowiedzieć. Pan Tripplin za nadto długo bawił w Francyi i Paryżu, gdzie wszystko pomału w spekulacyę przechodzi, i zapomniał jak rozmaite są nasze a Francyi stosunki. To co u nich jest pasowaniem się chwilowem, u nas może wyjść na samobójstwo. Oni się przerabiają, a my się dopiero dorabiamy. Co innego trwonić przeszłość, a co innego przyszłość!... Oby się nad tem zastanowił p. Tripplin; i niech by tam już źle leczył swoich chorych, ale niech źle nie pisze dla narodu!

Koncert p. Servais.

♀ P. Servais, pierwszy wiolonczelista króla Belgów, dał we wtorek swój pierwszy koncert w sali ratuszowej. Grał on wyłącznie swoje własne kompozycye, a to: *Fantaisie caracteristique*, *Waryacye* na temat z *Córki półku*, *Duet* z fortepianem na motywa z *Trovadore* Verdiego i prześliczną czysto polską kompozycyę *Wesele w Ojcowie*. O mistrzowskiej grze p. Servaisgo pisać nie będziemy, bo cokolwiek bądź moglibyśmy lub chcielibyśmy powiedzieć o jego nadzwyczajnej technice, o potędze tonu i t. d., wszystko to byłoby powtórzeniem tego, co już stokrotnie we wszystkich europejskich powiedziano dziennikach. P. Servais dając od lat trzydziestu prawie koncerta po wszystkich większych miastach Europy, zdobył sobie już od dawna w świecie muzycznym imię jednego z największych tegoczesnych wirtuozów. Nie będziemy się przeto wdawać w szczegółowy rozbiór, ani nawet w pojedynczy opis wysokich zalet gry p. Servaisgo; wezwiemy tylko naszych łaskawych czytelników, którzy nie byli na tym pierwszym koncercie, by niezaniedbywali sposobności, jaką pewnie nie tak prędko znowu mieć mogą, niech go posłuchają a zachwycą się.

Jeżeli p. Servais muzyków i dyletantów w zdumienie wprowadza wykonaniem i nadzwczajną śpiewnością gry swojej, silniej jeszcze przemawia on do serc naszych odegraniem takiej kompozycyi jak *Wesele w Ojcowie*. Gdyby wzrósł między nami i od dziecka chwytał w uszy wszystkie nasze tony rodzime, nie mógł by lepiej pojąć i oddać charakter narodowy całej muzyki naszej. Zdaje się zaprawdę, że odzywają się te wszystkie pól i łąk naszych cudne prostotą i melodyą tony i śpiewki.

Jedną pozwolimy sobie przecież w imieniu lubowników muzyki naszego miasta, którego lepszego smaku oczywiście p. Servais znać nie może, zrobić uwagę, a to, że p. Servais nie obdarzył nas w swym pierwszym koncercie ani jednym kawałkiem z tak zwanej *muzyki klasycznej*. Jeden taki kawałek w koncercie ucieszył by nas tem więcej, im więcej mielibyśmy sposobności podziwiać i zachwycać się potęgą tonu i śpiewu, jaki p. Servais umie ze swego cudownego wydobywać instrumentu. Jakie *Trio*, jaka *Sonata* Bethowena, Chopina, Mendelsona i t. d. niepowinnaby nigdy brakować w programie takiego artysty; — równie też jaka *pieśń* wykonana na wiolonczeli, która niezaprzeczenie z wszystkich instrumentów najstosowniej ją oddać może, a wykonana przez p. Servaisgo, sprawiłaby słuchaczom niezawodnie prawdziwą rozkosz. Pan Servais nie tak prędko znajdzie miasto, w któremby miał taką jak we Lwowie sposobność grania kawałków klasycznych; nasz Mikuli, jeden z niewielu żyjących znakomitych pianistów, jest jak wiadomo największym wielbicielem muzyki klasycznej, i gra tego rodzaju utwory niezawodnie z nadzwyczajnym talentem; spodziewamy się zatem, że p. Servais w połączeniu z p. Mikulim da się nam słyszeć w dziełach tego rodzaju.

Sala była przepełniona, a oklaski grzmiące. Towarzyszący p. Servaismu pianista van Lange grał *Polonez* Chopina i *Renegatę* Liszta; prócz technicznej biegłości nie ma w jego grze że tak powiemy ani światła ani cieni, gra tego młodego pianisty jest całkiem zimną. Jego uderzenia klawiszów są szczególnie do kompozycyj Chopinowskich, za twarde, za silne, za mało elastyczne...

Panna *Wygrzywalska* odśpiewała dwie małe piosnki Moniuszki. Publiczność zachęcała ją oklaskami do dalszego gruntownego kształcenia głosu.

Członkowie Towarzystwa muzycznego towarzyszyli p. Servaismu w dwóch kawałkach w podwójnym kwartecie z precyzyą godną uznania.

mocy pana Bauera, inspektora ogrodu botanicznego we Lwowie, który z całą uprzejmością zjechał do Dublan, a zwiedziwszy miejscowość, rad swych udzielił i pomoc swoją w czasie dalszej organizacyi przyrzekł.

Krótki ten pogląd na sprawę organizacyi botanicznego ogrodu w Dublanach, zdaje się być dostatecznym komentarzem do rubryki wydatków umieszczonych w XXIII. tom. rozp. Tow. Zdaje się że będzie dostatecznym, aby pana H. Witowskiego przekonać, że organizacya botanicznego ogrodu niebyła mrzonką; lecz gdyby i ten komentarz nieprzekonał szanownego autora Z zacisza pracy, to niechaj raczy otworzyć 191 stronnicę XXII. tomu rozp. Tow., a znajdzie tam obszerne zdanie sprawy komisyi, wyznaczonej na ogólnem zgromadzeniu dnia 20go czerwca 1857 r. do przekonania się o stanie zakładu naukowego gospodarskiego w Dublanach. Ze sprawozdania tego dowie się p. H. Witowski o rzeczach, o których trzeba wiedzieć koniecznie, jeżeli o zakładzie Dublańskim piszemy; dowie się, że delegatami byli: Pan Maurycy Kraiński, mąż głębokiej nauki i doświadczenia w rolnictwie, tudzież p. Wojciech Studziński, dzisiejszy rzeczywisty dyrektor szkoły rolniczej w Dublanach; dowie się, że ci mężowie stwierdzają wszystko, co wyżej o organizacyi ogrodu botanicznego powiedziałem, a co najdobitniej przytoczenie odpowiednich ustępów z rzeczonego sprawozdania udowodni.

I tak znajdujemy zaraz na wstępie te słowa: „Po przywitaniu zastępcy dyrektora p. Abancourt, przystąpiliśmy do przeglądu obejścia folwarcznego; a że bydło było w polu, udaliśmy się najprzód do ogrodu po lewej stronie pomieszkania dyrektora położonego. Przy samym wchodzie jedną część tegoż udzielono dla zatrudnień młodzieży szkolnej; każdy z uczniów uprawia i utrzymuje własną pracą dwie grządki, a wszystkie użyte są pod warzywa i rośliny do rozpłodu przeznaczone; jest to początek do ogrodu botanicznego w celu li gospodarstwa wiejskiego. Tak te jak i w głównym ogrodzie bujnemi warzywami porosłe grzędy, zastaliśmy troskliwie oplewione, drzewa owocowe w sadzie oczyszczone, a dla ochrony od owadów mieszaniną z gliny obciągnięte; jak na ten nie bardzo przyjazny rok dość osadziły owocu. Szczepy z daru p. Abancourt szczęśliwie się przyjęły, a niektóre z nich mają już zawiązki owocowe.“

W innem miejscu znajdujemy te słowa: „Tuż za folwarkiem położony dział IV. zmniejszony został o pięć morgów, odciętych na przyszły sad; a w celu przygotowania roli pod tenże, zasiano miasto przypadającego w tej części owsa hreczkę, która dla posuchy nierówno powschodziła. Z tego samego działu wydzielono dla szkoły na pole doświadczalne. morgów pięć, i t. d.“

Jest to urzędowy dowód o istnieniu botanicznego ogrodu 1857 r., o rozpoczętych pracach dla przygotowania roli pod przyszły sad; ale o tem wszystkiem pan H. Witowski niewiedząc sądził, że dosyć nieznaleść w r. 1858 śladu organizacyi, aby powiedzieć stanowczo, że jej w r. 1857 niebyło; bo zapewne niema doświadczenia w tem, że podobne organizacyjne, z planem rozpoczęte prace, kończą się zwykle w lat kilka, zwłaszcze w zakładzie rolniczym, którego zadaniem, jest praktycznemi przykładami nieustannie młodzież pouczać. Zapewne nie pomyślał o tem, że wieloletnie mozolne prace rolnika często niszczy jedna chwila rozhukanych żywiołów, niszczy niedbałość lub złośliwość ludzka.

Praca rolnika, nie jest to praca dzisiejszych dla chleba powszechnego fakrykantów książek, którzy po przeczytaniu trzech, wydają na świat czwartą, choćby o ścisłych naukach, którym potrzeba przecie całe niemal życie ludzkie poświęcić, i choćby o tak różnych od siebie przedmiotach, jak pszczelnictwo, geologia, botanika lub mineralogia. Ale autor Z zacisza pracy tej różnicy niedopuszcza, i żąda aby sady, ogrody, chmielarnie powstały jak róższczką czarodziejską wywołane, niby owe fabryczne książki; aby były tak nienaruszalnemi, jak ów niepokupny towar na półkach księgarskich.

Kończę list dzisiejszy tem uroczystem zapewnieniem, że odtąd na wszelkie z kądkolwiek bądź pochodzące reklamy, a odnoszące się do listów moich „O potrzebach zakładu w Dublanach“ odpowiadać nie będę. Bezpiecznie więc może autor Z zacisza pracy karmić publiczność podobnemi bąkami, jak te o botanicznym ogrodzie.

Budzimierz Socha.

(Budżet i bilans funduszów gminy lwowskiej za rok 1858).

W. Listy brzeżańskie. II. Do mojego zakątka przybywają z pola wojny interesów ludzkich rozmaite poselstwa zwiastujące albo zgodę, albo dalszy tok wojny i nową stanowczą walkę. Obecnie przyleciały dwie karty, jak dwie gołębice oznajmujące zgodę, a tuż za niemi nawet formalny akt zawarcia pokoju. Czemże bowiem innem są bilanse czyli zamknięcia rachunków *gminy lwowskiej i kasy oszczędności*, jeżeli nie poselstwami zawierającemi na czele napis: *zgoda?*

Bilans jest to *zgoda* między dochodami i wydatkami, między długami a należytością. Aktem zawartego pokoju, zaś jest ogłoszenie magistratu lwowskiego, którem tenże oznajmia zniesienie podatku gminnego wynoszącego 5% od podatków rządowych.

Spojrzyjmy przedewszystkiem na zamknięcie rachunków miejskich i porównajmy je z budżetem. Budżet jest to nadzieja i obawa: nadzieja na wielkie dochody i obawa wielkich, a jak dotąd zawsze bywało, większych jeszcze niż dochody, wydatków. Budżet jest zarazem planem kampanii ułożonej przeciwko rozmaitym źródłom dochodów, szczególnie przeciw kieszeniom obywatelstwa. Bilans już jest raportem o skończonej walce i ogłasza zwycięztwo lub klęskę, t. j. albo *nadwyżkę dochodów* albo *niedobór*. Każdy z nich ustawia szyki liczb swoich we dwie kolumny po dwóch stronach przeciwnych, oblicza ich siły— i *budżet* zapowiada: *co będzie*; *bilans* zaś opowiada: *co było*. Widzimy po jednej stronie nad kolumną liczb nadpis *Ausgaben*, po drugiej *Einnahmen*. Na końcu tych kolumn spostrzegamy w ściśnionym szeregu sześć liczb wyrażających sumę 904.814 zł. $9^{5}/_{8}$ kr. Toż samo po stronie wydatków i dochodów. Miałożby nasze miasto mieć rzeczywiście tak ogromną ilość wydatków i dochodów, sięgającą blisko miliona? Miałażby rzeczywiście panować między temi dwowa szeregami liczb taka zupełna zgoda nawet co do owych $^{5}/_{8}$? Bynajmniej. Ponieważ wątpię, aby czytelnicy nasi zajmowali się wiele buchhalteryą, więc poczuwam się do obowiązku wyjaśnienia, że i w bilansach *nie wszystko złoto co się świeci*. Niechaj mnie nikt nie posądza o aluzyę do braku kruszcu w naszych kasach a obfitości papieru, albo do owych złudnych rachub liczących między dochody to co rzeczywiście jest tylko długiem, n. p. zaliczkę udzieloną dobrodusznie przez jaki bank. Wiem ja o tem, że najpoważniejsze kasy w świecie niezwykły w sobie zawierać więcej kruszcu nad to żelazo, z którego się składa ich tułów arcymisterny. W tej mierze panuje zupełne porozumienie między wszystkiemi kasami od największych aż do tych najmniejszych, dla których wszelkie tułowy kruszcowe i zamki misterne są najzupełniejszym zbytkiem, a których budżet równie jak bilans jest nieograniczony, bo oba zaczynają się i kończą na zero. A więc papierki (n. p. wexle) przelatują z rąk do rąk jak owe białe motylki na wiosnę. Zresztą czy złoty czy papierowy mamy pieniądz, zawsze dochód zostaje dochodem a wydatek wydatkiem. Tyle co do papieru. A że od papierów (n. p. wexlów) do długów *non datur saltus*, więc jeszcze słówko *o długach*. Przedewszystkiem protestuję z góry przeciwko posądzeniu, jakobym gminie naszej chciał wytykać jej długi. Miasto nasze ma w stosunku do swej zamożności tak mały dług, że człowiek prywatny nie jeden wstydziłby się, gdyby ich niemiał więcej (rozumie się, że w stosunku do jego dochodów). Nie płaci ono więcej procentu od długów rocznie jak 10.000 zł., to jest niemal 0.02 dochodu, przytem zważyć należy, że od swoich aktywów samo pobiera 13.000 zł. procentu, a zatem więcej ludzie miastu dłużni niż ono swoim wierzycielom. Ściśle więc rzeczy biorąc, niema nasza gmina długów. Ale gdyby je nawet miała, byłżeby to wstyd? Jest to moje osobiste zdanie, że każdy porządny człowiek musi mieć *długi*, bo kto niema długów, ten snać małe ma potrzeby; a kto ma potrzeby małe, ten został daleko za dzisiejszą cywilizacyą. Człowiek wykształcony dąży zawsze wyżej, pragnie zatem więcej używać, niż mu pozwalają dochody, a ztąd wynika, że musi mieć długi. Wiadomo także, iż najcelniejsze operacye finansowe opierają się na *kredycie*, t. j. na robieniu długów w porę i w miarę majątku.

W każdem gospodarstwie są koniecznie wydatki większe od dochodów, albo przeciwnie; rzeczywista zgodność w tej mierze jest nadzwyczaj rzadkim wyjątkiem. Zwykle tedy w rzeczywistości jest albo *niedobór* albo *nadwyżka*. Prywatny człowiek pokrywa swoje niedobory *długami*, i przychodzi tak do nich bardzo prostą drogą, bo więcej potrzebuje niż ma. Korporacye zaś i mocarstwa pokrywają swoje niedobory wprawdzie także długami, ale dopiero w ostatecznym razie, i nieobciążają niemi bynajmniej majątku, tylko je pokrywają przez podwyższenie dochodu. Tak tedy czyni i gmina lwowska. Dochód z jej *majątku* nie wystarczyłby nigdy na pokrycie wydatków. Jej majątek stanowią dobra, grunta, domy, inne realności (kamieniołomy, cegielnie, młyny i tym podobne), nareszcie kapitały, czynsze emfiteutyczne i laudemia Te uczyniły w upłynionym roku nie więcej jak 72894 zł. (dobra 26.873, grunta i realności 2.172 zł., domy 33.493 zł., czynsze emfit. 236 zł., laudemia 120 zł.) Tymczasem gmina ma wielkie obowiązki dla swoich obywateli, wszystkie bardzo kosztowne. Pominąwszy samą administracyę centralną, t. j. magistrat (który w tym roku kosztował 48.477 zł.), administracyę dóbr (2.566 zł.), domów, gruntów (16956 zł.), wsparcia dla urzędników (1.730 zł.), pensye (28.102 zł.), wydatki na kancelarye (13.251 zł.), buchhalteryę (5.260 zł.) i wiele innych — musi gmina dbać o utrzymanie porządku i bezpieczeństwa, czystości w mieście, o oświetlenie, drogi, studnie, kanały, kościoły, szkoły, szpital powszechny, zakłady dobroczynne i t. p. Wszystko to razem kosztowało w tym roku *476.481 zł.*

Zkądże na to wziąść pieniędzy? Że majątek na to nie wystarczy, to rzecz jasna. Służą więc do tego pewne pobory, do których zwyczajem powszechnie i oddawna uświęconym wszystkie gminy mają prawo. Należą tu rozmaite *taksy i opłaty*, z których najcelniejsze są; myto (uczyniło w 1858 roku 96,660 zł.), spłata od szynków i zajezdnych domów (18691 zł.), od przekupniów (7279 zł.) i wiele innych pomniejszych, nareszcie najważniejsza ze wszystkich opłata za warzenie trunków; gdyż miasto, mając wyłączne prawo do tego, pozwala je prywatnym wykonywać, tylko za pewną opłatą; ta uczyniła 194.234 zł. Ale nie wystarczyły i te dochody, stanowiące także niejako *majątek* gminy; są to bowiem prawa tak ustalone, że o nich nikt nie śmie wątpić, podobnie jak nie wątpi o prawie rządów do nakładania podatków, i t. p. Istniała wojna przeciw kieszeniom ludzkim, alеż i ludzie wojują przeciw kasom gmin. Każdy czegoś żąda, każdy się domaga czegoś: ten radby aby go nieobdzierano po ulicach, inny aby pożar gasić, gdy jego dóm się zajmie, trzeci aby wody było do picia podostatkiem, czwarty, piąty i t. d. bez końca. Gdy się tedy obliczy wszystkie te potrzeby mieszkańców, okazuje się, że jeszcze i tamte *taksy i opłaty* nie wystarczają na ich pokrycie. Jakaż więc rada? Trzeba apelować, nie do pana Boga, bo w takich sprawach panuje najsłuszniejsza zasada: *Pomagaj sobie, a Bóg ci pomoże.* Więc apelacya do *członków gminy*, żeby dali pieniędzy. Ale któż stanowi tę *gminę*, która od swych członków potrzebuje pieniędzy? Członkowie sami. Jak się z masy obywatelstwa wykrystalizowała reprezentacya złożona z kilkudziesięciu? jaka jest genezya magistratu, wydziału miejskiego, czyli rady gminnej? To nie należy do niniejszych dziejów wojny między potrzebami a kieszeniami. Koniec końców jest *rada gminna*, która postanawia o dopełnianiu niedoboru w dochodach, układajac corocznie budżet dochodów i wydatków. Budżet na rok 1858 przedstawił niewesołą przyszłość. Przyjęto już z dawna zaprowadzony dodatek do podatku *konsumcyjnego*, który miał wynosić 74000 zł., a uczynił rzeczywiście 90000 zł., obliczono różne inne źródła dochodów, obliczono z drugiej strony wydatki — i okazało się, że dochodów miało być 485000, wydatków zaś 511.140 st., więc niedoboru miało być 26.100 zł. Na pokrycie tego niedoboru postanowiono bardzo lakonicznie, *zaprowadzić rozmaite taksy i podwyższyć niektóre dochody.*

Powiemy na taki budżet, że ułożono plan bitwy, postanowiono: *będziemy walczyli, ale przegramy*. Bo jużci to jest przegrana naprzód zapowiedziana, jeżeli obywatele uznają, że dochody gminy niewystarczają, i postanowią dołożyć z własnej kieszeni, czego braknie. Lecz cóż miała czynić biedna gmina innego? Obliczała przyszłość podług przeszłości, opierała się na smutnem doświadczeniu lat poprzednich. Zawsze wydatek przerastał dochody. Uchwalono w r. 1852 zaciągnąć dług wedle potrzeby, jaka się w ciągu roku następnego okaże. W r 1853 postanowiono nałożyć, oprócz długu, podatek gminny na zamożniejszych obywateli. W r. 1854 wykonano obadwa te postanowienia. W r. 1855 podwyższono podatek konsumcyjny na *mięso*, 15% na 40%; toż samo uczyniono w r. 1856. Na rok 1857 i 1858 przedsiębrano już przy układaniu budżetu tylko lakoniczne postanowienie *stosownego podniesienia niektórych poborów.* W wykazach szczegółowych budżetu znajdujemy zaś już od r. 1854 w rubryce dochodów: *Podatek gminny wynoszący 5% od wszelkich podatków (direkte Steuern).* (D. n.)

(Rozprawa o scenie polskiej).

(W). Z nad **ujścia Wisłoki** *d. 24. stycz.* Dawno już bardzo przyrzekłem wam napisać o biedzie, która nas nieszczęsnych wsi mieszkańców dręczy, i byłbym się z tego przyrzeczenia rychlej wywiązał, gdybym się nie był znalazł w kłopocie, od jakiej to biedy zacząć? Bo to nas na wsi nie jedna tylko bieda biedzi!

Mimo tego jednak zacząłem pisać artykuł sążnisty i ogoniasty; bo nauczony doświadczeniem, że redakcye w Galicyi niemiłosiernie używają czasem nożyczek, a każdy znożyczkowany artykuł wygląda jak lis bez ogona, panna bez krynoliny, albo adwokat bez świeżo nabytych dóbr ziemskich: umyśliłem pisać artykuły na *wyrost*; bo przecież lepiej *coś* jak *nic* nie pisać! I byłbym może skończył ten artykuł, co miał opiewać nasz brak pieniężny, brak kupca na produkta, brak tego i owego, a z drugiej strony miał się skarzyć na *niebrak* wielu rzeczy, o których nam, a przynajmniej naszym kieszeniom się nie śniło—gdy mnie interes powołał do Krakowa.

Interes, aczkolwiek jak każdy interes, niemiły, tyle mi jednak sprawił przyjemności, że szczęśliwie trafiłem na 19. stycznia, to jest na dzień koncertu *księżnej Aleksandrowej Czartoryskiej*, która wraz z p. *Biernackim* i akompaniującym p. Władysławem Żeleńskim, poświęciła swe trudy, aby przynieść pomoc *opuszczonym chłopcom*, zostającym w zakładzie ś. Józefa pod szczególną opieką pani Piotrowej Michałowskiej.

Odegrano koncert i mazurka *Chopina*, sonatę *Bethowena*, fantazyę na skrzypce *Alarda*, i pieśni ludowe ułożone na skrzypce przez p. Biernackiego.

Nie będę się zapuszczał w ocenienie tego koncertu jako muzyk; ale jako człowiek mogę śmiało powiedzieć, że o ile nas zachwyciła mistrzowska gra księżnej, o tyle rozrzewniła nas mistrzowska, a zarazem do serca i duszy przemawiająca gra p. Biernackiego. Ale jakaż to szkoda, że tyle poświęcenia i pracy, nie uwieńczyła gromada tych opuszczonych chłopców z swoim nauczycielem na czele jaką n. p. girlandą z kwiatów, albo bukietem łzą wieczną wdzięczności zroszonym! Hołd ten oddany czcigodnym amatorom, byłby nas wszystkich do łez poruszył, gdy tym czasem inaczej się stało. Oklaski nie na swojem miejscu dawane, a potem herbata także nie na swojem miejscu dana, chociaż w restauracyi u Francuza, niewyrównała pewnie wdzięczności *tamtych opuszczonych chłopców.*

Ale może być, że ja już stary jestem, a zatem zrzęda, i patrzę się na świat przez okulary niezgadzające się z postępem; jednakże niemogę się na to zgodzić, aby owe zwyczaje, co to z Paryża, a bodaj czy nie z Nowego Jorku do nas się wciskają, znalazły u nas przyjęcie! *Dabit se videre!...*

Na drugi dzień byłem w teatrze, bo to dla ruralisa teatr jest rzeczą wielce szanowną. Grano sztuczkę: *Nad Wisłą*, o której, jak i o grze aktorów, tak jak to nasz biskup warmiński powiedział: O Ryczywole zamilczeć wolę, bo też tam wody było zaprawdę aż nadto. Grano: *Godzina małżeństwa;* komedyjka to z francuzkiego wcale nie zła, a i przedstawienie było nie złe. Żałuję tylko, że z afisza nie mogłem się dowiedzieć, kto były te cztery osoby grające w komedyjce. Dla obcego, nie znającego grona artystów krakowskich, trudno pytać się, jak się ten lub ów nazywa? Zakończono *Chłopami arystokratami.* Kto widział Radzyńskę, dzisiaj panią Hubertowę, kto widział waszego Nowakowskiego w tej sztuce, to rad nie rad musiał albo ziewać albo ramionami ruszać. Nie wiem dla czego *Czas*, jako organ krajowy, tak mało ceni scenę narodową, że żadnej nie umieszcza recenzyi. Jeżeli osobistość jakaś bruździ, to szkoda, bo przecie i publiczność ma prawo żądać od pisma tak rozpowszechnionego, aby dzawało kiedyś niekiedyś sprawę ze sceny narodowej, która jest i była dźwignią narodowości.

Lecz dosyć już narzędziłem; nie myślcie jednak, bym tamtej korespondencyi o biedzie zaniechał. Poszlijcie tymczasem nożyczki do szlufierza, bo zapewne będziecie mieli co obcinać.

Część urzędowa.

* Dla zaoszczędzenia wydatków armii raczył rozporządzić Jego c. k. apostolska Mość pod dniem 15. z. m. że rachunkową służbę w całem wojsku bez wyjątku, pełnić będą w czasie pokoju oficerowie i podoficerowie; prócz podoficerów przydzielonych już do rachunkowych kancelaryj, przydany będzie istniejącym szefom rachunkowych kancelaryj podwładny oficer, który po upływie sześciu miesięcy obejmuje rachunkowe sprawy samodzielnie. Przy konnicy używać będą do tego dwóch rotmistrzów. Przy postawieniu wojsk na stopę wojenną, kreowany będzie zamiast każdego oficyała rachunkowej kancelaryi podwładny oficer, a zamiast każdego akcesisty rachunkowej kancelaryi feldwebel sztabowy. Przy szpitalach garnizonowych, komendach od pociągów, wydziałach od stadniny, geograficznych instytutach i domach inwalidów mają być kreowani podwładni oficerowie i sztabowi feldweble na miejsce oficyałów i akcesistów już w czasie pokoju. Posady oficerów będą obsadzane pensyonowanymi albo niezdolnymi do służby wojennej; posady sztabowych feldweblów zaś najpierwej z wydziału rachunkowego, potem według istniejących przepisów uzupełniających, a oficerowie podlegają sześciomiesięcznej próbie służbowej; jednak do przeznaczenia oficerów na te posady mają przystąpić wtedy dopiero, gdy wszyscy nadliczbowi urzędniey rachunkowej kancelaryi zostaną umieszczeni. Po upływie sześciu miesięcy wciągnięci zostaną urzędnicy rachunkowej kancelaryi z wojska do departamentów rachunkowych, w których przy każdym z istniejących 106 oddziałów ma być zmniejszony etat o jednego podwładnego urzędnika. Pozostały etat oficyalistów i akcesistów podzielony potem zostanie według istniejących siedmiu klas płacy, a Jego c. k. apostolska Mość zezwala najłaskawiej, ażeby na każdą czwartą opróżnioną posadę, nastąpić mogło jedno posunięcie na wyższy stopień; oraz ażeby umieścić ile możności jak najprędzej wielką liczbę nadliczbowych, podać natychmiast wszystkich mniej potrzebnych urzędników wojskowej kancelaryi rachunkowych do dyspozycyi najwyższej władzy rachunkowej kontroli i uwolnić ich z wojska. Dopokąd jednak istnieją nadliczbowi tego rodzaju, nie wolno przyjmować żadnych nowych aspirantów ani w armii ani przy buchhalteryach cywilnych.

Mianowania.

* Naj. Pan mianował Karola hr. Załuskiego swoim szambelanem.

* C. k. ministeryum spraw wewnętrznych mianowało w nowym składzie magistratu lwowskiego c. k. sekretarza Namiestnictwa *Franciszka Kröbla* burmistrzem, a radcę magistratualnego *Feliksa Ziołeckiego* wiceburmistrzem, obudwu w charakterze prowizoryczym.

* C. k. wyższy sąd krajowy we Lwowie podaje niniejszem do wiadomości powszechnej, że dr. *Marceli Eminowicz*, mianowany dekretem c. k. ministerym sprawiedliwości adwokatem w okręgu lwowskiego sądu krajowego z siedzibą w *Stanisławowie*, złożył na dniu 31. stycznia 1859 w wyższym sądzie krajowym we Lwowie przepisaną przysięgę i wpisany został do rzędu obrońców w sprawach karnych.

* Konceptowi praktykanci Filip Jende i Marcin Skajduka, tudzież auskultanci sądowi Adam Wiszniewski i Józef Koncki, mianowani aktuaryuszami sądów powiatowych; dyurnista zaś Antoni Kankoffer mianowany kancelistą obwodowym.

Kronika.

Więc przecie raz już możemy donieść o balu odbytym na prawdę, nagadawszy się niemało o nadziejach balowych! Wprawdzie wielkie jest pytanie, czy nie lepiej pisać o nadziejach jak o rzeczywistości, choćby dla tego, że kronikarz mianowicie, nadzieję może nieco upoetyzować, a rzeczywistość należy już do dziejów, które historycznie traktować trzeba. Co bez ogródki raz powiedziawszy, znaczy tyle, że niby łatwiej zmyślać, jak prawdę mówić. Lecz tym razem rzeczywistość nie zawiodła nadziei. Bal środo-

DODATEK.